



Agnieszka Hąłas

Klejnot
z Doliny
Machin

RW2010

AGNIESZKA HAŁAS
KLEJNOT Z DOLINY MACHIN

Pierwodruk: „Fenix” nr 11(99)/2000

Ukazało się w: zbiór „Między otchłanią a morzem”, Dom Wydawniczy Ares, Katowice 2004

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Okładka Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

*Nie znać, co kryją ogniste zasłony
A każda sobą zasnęła grzesznika.*
(Dante Alighieri, „Boska Komedia”)

Wydaje ci się, że świat jest zamkniętą konstrukcją – zdefiniowaną do końca, oprawioną w sztywne ramy potwierdzonych empirycznie reguł?

Przychodzi moment, kiedy skorupa pozorów pęka; a spod niej wypęła drapieżna, wielokształtna ciemność, przepleciona mackami piekielnego żaru...

I wtedy dopiero poznajesz, czym może być cierpienie...

1. Este

– Czy widzisz tę hardą panienkę, siostrzeńcze? Tak, tę tam, ubraną na podobieństwo kwitnącej piwonii? Jakże dumnym krokiem sunie przez tłum, na nikim dłużej nie zatrzymując wzroku!

– Nie sądzę, żeby to zależało od jej widzimisię, wuju. Przyjrzyj się uważniej; śladem panny podąża dostojna matrona w stroju jeszcze jaskrawszym i mniej wygodnym, zapewne babka.

– A tak, masz rację. Teraz widzę; pilnuje małej niby kwoka kurczęcia.

– Nic dziwnego, że biedactwo stąpa, jakby jej gorset usztywniono stalowymi prętami.

– Obie są na pewno z możnego rodu, to widać po klejnotach starszej.

– A młodsza nie ma na sobie nawet kamyczka. Dziwnie pomyśleć, że ktoś w tym mieście jeszcze przestrzega dawnych obyczajów...

– Tak, siostrzeńcze. Obawiam się, że właśnie minęły nas dwa chodzące anachronizmy; relikty szczęśliwszej epoki, skazane na wcześniejszą czy późniejszą zagładę w powodzi blichtru i taniego kuglarstwa. Wypijmy tedy przynajmniej ich zdrowie tym oto wyśmienitym winem!

– Chwała Najłaskawszemu, godnie podejmującemu gości!

Dwa puchary zetknęły się z brzękiem; dwaj mężczyźni w paradnych wojskowych mundurach wychylili zawartość naczyń i ruszyli na środek sali, gdzie ustawiano się do kolejnego tańca.

W pałacu Najłaskawszego w sercu miasta Tay zebrało się tego wieczoru wiele znakomitych osobistości. Byli tam ministrowie, kanclerz, marszałek dworu, dworzanie i damy; byli czarodzieje Doreos i Alkimad, pełniący funkcje doradców, w ceremonialnych szatach z ciężkiej srebrzystej tkaniny. Nie zabrakło ambasadorów każdej z Siedmiu Krain oraz posłów od Najmoźniejszego z Eume, Najjaśniejszego z Yever Laren, Najmiłościwszego z Kangu i Najdostojniejszego z Shan Vaola.

Trzy wielkie sale balowe udekorowano na tę okazję w sposób tyleż kosztowny, co oryginalny. Wyłożone smoczą kością ściany pokryto draperiami w kolorze akwamarynu, przejrzystymi jak mgła. We wnękach zawisły wieńce i wiązanki z fosforyzujących jaskiniowych pnączy. Natomiast w zwieszających się ze sklepienia żyrandolach płonęły dziesiątki świec, tak że zimne sinawe światło mieszało się ze złocistym i ciepłym.

Najłaskawszy siedział nieruchomo na swoim tronie z błękitnego kryształu, na podium pośrodku największej z sal. U jego stóp przykucnął trefniś – garbusek. Za tronem stali dwaj muskularni gwardziści o ponurych twarzach, gotowi w okamgnieniu obezwładnić każdego, kto zbliżyłby się do tronu na podejrzaną odległość. Nominalny władca Tay nie był już młody, o nie; jego oblicze przecinały głębokie bruzdy, biała broda spływała prawie do kolan. Oparłszy głowę na rękę, wydawał się drzemać, podczas gdy wokół podium w najlepsze trwała zabawa. Tańczono i pito, służba roznosiła kielichy oraz tace z łakociami. Dwudziestu

muzykantów przygrywało na dwudziestu złotych harfach. Dwudziestu innych dmuchało w przedziwnie powyginane mosiężne rożki, zaś czterech uderzało w wielkie bębny. Orkiestrą dyrygował sam mistrz Malaccus, genialny odmieniec. Z daleka wyglądał jak mały chłopiec, uginający się pod ciężarem ozdobnego stroju.

Nie był to pierwszy bal piętnastoletniej hrabianki Marilis Lan-Agen Este, ale nigdy wcześniej nie uczestniczyła ona w tak hucznej uroczystości. Upojona muzyką i światłami, poruszała się jak we śnie.

Este była wysoka, o poważnej twarzy i bujnych włosach barwy miodu. Odebrała staranne wychowanie, lecz dopiero od niedawna pozwalano jej bywać w towarzystwie. Ojciec miał nadzieję, że uda mu się wydać jedynaczkę korzystnie za mąż i do tego ograniczały się jego ambicje odnośnie jej osoby. Nie różnił się specjalnie pod tym względem od innych ojców z tej samej warstwy społecznej. Jak dotąd nie udało się jeszcze znaleźć kandydata, którego majątek i nazwisko odpowiadałyby wymaganiom hrabiego Lan-Agen; ale Este była wszak taka młoda...

Strój, który miała na sobie tego wieczoru, stanowił doskonale odzwierciedlenie gustów i ambicji jej opiekunów. Po staroświecku surowy, a jednocześnie pełen przepychu; niech nikt nie śmie wątpić w zasobność rodzinnej szkatuły! Powłóczytą suknię zdobiły sute falbany i wysoki, stojący kołnierz. Tkanina z puchu bazyliuszka i włókien księżycowego krzewu, barwiona sokiem małży z mórz dalekiego Południa, sama układała się na ciele w sztywne, połyskliwe fałdy. Za czterdzieści lat jej kolor będzie równie głęboki jak w dniu, w którym wyjęto ją z kadzi farbiarskiej. Błada skóra Este, od najwcześniejszego dzieciństwa chroniona przed słońcem, na tym tle wydawała się olśniewająco biała. Babka, znana z konserwatywnych poglądów, nie pozwoliła dziewczynie ozdobić szyi ani rąk biżuterią („na to masz jeszcze czas, kochanie”), a zaplecione starannie włosy kazała osłonić cienkim szalem w odcieniu podobnym do sukni, chociaż z nie tak kosztownego materiału. W rezultacie Este czuła się o wiele mniej pewnie, niżby chciała. Twarz, grubo pokryta tradycyjnym makijażem – uczernione powieki i usta, przyklejone na policzkach płatki złota –

swędziała od gorąca. Dziewczyna z zazdrością zerknęła na starsze od siebie eleganki w maseczkach ze sztucznej skóry. Gładkie, perłowo lśniące powłoki tuszowały każdą niedoskonałość rysów. Zwykłym ludziom nie wolno było korzystać z talizmanów ani magicznych napojów, lecz wyrobów z symbiontów nie zakazano w żadnym z miast nad Zatoką Snów i cieszyły się wielkim powodzeniem wśród zamożnych. Jednak piętnaście lat to stanowczo za wcześnie, żeby korzystać z masek, tak uważali zarówno babka, jak ojciec Este. Este nawet nie próbowała z nimi dyskutować.

Nie pozwolono jej brać udziału w tańcach, więc tylko spacerowała wzdłuż ścian, dostojnie wyprostowana; etykieta zakazywała siedzieć przez cały czas w jednym miejscu. Babka płynęła krok w krok za swoją podopieczną, szeleszcząc jedwabnymi spódnicami; otyła, lecz dystygowana. Od czasu do czasu rzucała szeptem uwagi na temat mijanych osób, w rodzaju: „nie znam człowieka w białym kaftanie, to musi być wyzwoleniec i w dodatku niedawny” albo „ta tam, na parkiecie, z bukietem magnolii, to Seri Lan-Thaye Vanessa; nie daj się zwieść tej delikatnej buzi! Związała się ongi z pospolitym kupcem, tak mówią, i urodziła mu nawet dziecko; mówiło się już o ślubie, ale rodzice sprzeciwili się mezaliansowi, a o bękarcie słuch zaginął...”. Este puszczała te opowieści mimo uszu. Doprawdy czułaby się dużo lepiej, mając na sobie coś jaśniejszego i lżejszego... i rozpuszczone włosy, z przypiętym na skroni pękiem kwiecica, tak jak tamta szczęśliwa Lan-Thaye Vanessa, płynnie wykonująca skomplikowane taneczne figury, podczas gdy mężczyzna w białym kaftanie szeptał jej coś do ucha...

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pogasły wszystkie świece. Błękitny tron Najlaskawszego rozjarzył się lodowatym światłem, które zaćmiło słabą poświatę pnączy. Każdy ornament na powierzchni pucharów i tac, każdy wisior, bransoleta i spinka ożyły, rzucając szafirowe błyski. Orkiestra zagrała menueta.

Este uświadomiła sobie, że natrętny szept przy jej uchu ścichł nie wiedzieć kiedy. W tej samej chwili tuż przed nią wyrosła wysoka postać. Wytworny młodzieniec wyciągnął dłoń, zapraszając do tańca... Dziewczyna rozejrzała się

pospiesznie, i – o cudzie! – ziściło się niemożliwe, jej babka przepadła gdzieś wśród ciżby. Z bijącym sercem Este ujęła zaoferowane jej ramię, pozwalając się zaprowadzić na parkiet.

Tak się wszystko zaczęło...

* * *

– **Zmęczona?**

– O, tak...

– Chodź, usiądziemy gdzieś pod ścianą. Napijesz się czegoś?

Miał gładko wygoloną, pociągłą twarz o oliwkowej cerze. Zaczesane do tyłu ciemne włosy lśniły od pomady. Czarną kurtkę o nieco ekstrawaganckim kroju zdobiły złote galony.

Był wspaniałym tancerzem. Kiedy w końcu postanowili odpocząć, Este miała wrażenie, że cały świat wiruje, tak kręciło jej się w głowie. Z wdzięcznością przyjęła puchar lodowatego sorbetu i uświadomiła sobie, że mężczyzna wpatruje się w nią jak w obraz.

– Tak – szepnął, jakby odgadując jej myśli. – Piękna jesteś, nieznajoma panienko... tak poważna i słodka w tych krwawych jedwabkach, jakby stworzonych do tego, by dawać oprawę twojej boskiej twarzyczce. Jakim imieniem mam się do ciebie zwracać, powiedz?

Powiedziała mu – tak, jak ją nauczono, to znaczy nie zapominając o nazwisku i pochodzeniu. Skinął głową, jakby potwierdziły się jego domysły, po czym przedstawił się po prostu jako Thetean.

– Lecz to tylko pseudonim, prawda? – spytała naiwnie; nie mieściło jej się w głowie, by ten człowiek nie był co najmniej baronem. Thetean zamiast odpowiedzieć uśmiechnął się tajemniczo i Este natychmiast nabrała przekonania, że rozmawia z przebranyim księciem.

Zamienili kilka niewiele znaczących słów, po czym on zaproponował, żeby wrócili na parkiet. Wtedy coś sobie przypomniała. W jej oczach mignął przestrah.

– Co się stało? – spytał, unosząc brwi Thetean. Este obląła się rumieńcem, równie purpurowym jak jej ubiór.

– Moja babka...

– No, cóż z nią?

– Nie może zobaczyć nas razem...

– Ach, jakaś ty dziecinna. Nie zobaczy. Zadbalem o to.

Spojrzała na niego niepewnie i nagle zrozumiała, a w każdym razie zdawało jej się, że rozumie.

– Czy to możliwe? Jesteś, panie... – nie dokończyła, bała się wymówić tego słowa. Uśmiechnął się znowu.

– Czarodziejem? Może i tak... Dziś jest szczególna noc, prawnuczko Marilis. Niejedno może się zdarzyć, nie wyłączając czarów. Chodź, grają coś spokojnego.

Este bez sprzeciwu pozwoliła się objąć. Zamknęła oczy; Thetean trzymał ją mocno, a sala znów wirowała wokół nich.

Nieco później prowadził ją przez korytarze wyłożone różowym, białym żyłkowanym marmurem, przez mroczne przejścia, gdzie niewidzialny prąd powietrza budził starożytne arras do trzepoczącego życia. W oszklonej oranżerii, w cieniu zamorskich krzewów odniosła wrażenie, że czas zwolnił bieg. Przestała zdawać sobie sprawę z upływu godzin. Thetean opowiadał fascynujące historie o pałacu i jego mieszkańcach. Znał imiona wszystkich dworzan i dostojników, nie zawahał się też napomknąć o samym Najlaskawszym. Este słuchała z bijącym sercem, czując się nad wyraz dorośle.

W pewnej chwili przerwał i zmierzył ją wzrokiem. Spłonila się ponownie. Jego ostre rysy jakby odrobinę zmiękły.

– Gdybyś wiedziała, jaka jesteś urocza... – szepnął. I niespodziewanie ukląkł przed nią, zupełnie jakby znajdowali się na deskach teatru. – Pozwól mi zostać twym rycerzem, pannuczko Marilis.

Zaskoczył ją tak, że otworzyła usta, zapominając o etykiecie.

– To żart?... – rzuciła niepewnie.

– Nie, skądże. Czemu tak sądzisz?

Znowu usiadł obok, otoczył ją ramieniem. Gdzieś na granicy świadomości rozbrzmiewały lepkie echa, być może wyszeptanych podstępnie zaklęć... Lecz Este nie potrafiła się bać. Nie tego człowieka.

Nie jego aksamitnego głosu.

– Turnieje wyszły z mody. – Usłyszała dobiegający z bardzo daleka swój beztroski śmiech. – Ciężkie pancerze i miecze rdzewieją w zbrojowniach albo zdobią ściany pałacowych korytarzy. Jakichże czynów chciałbyś dokonywać w moim imieniu, panie?

Ujął jej dłoń w obie ręce. Este znowu odniosła wrażenie, że znajduje się w teatrze; że to wszystko nie może dziać się naprawdę. Równocześnie wiedziała, że bez względu na to, co się dalej wydarzy, nie będzie umiała zapomnieć o tym mężczyźnie. Nic nie będzie już takie, jak przedtem.

– Mierzi mnie dworska maniera mówienia w sposób napuszony i kwiecisty o sprawach, które równie dobrze można opisać prostymi słowami – szepnął jej wprost do ucha. – Nie chcę, żeby nasza znajomość urwała się, kiedy ten bal dobiegnie końca. Czy spotkasz się ze mną, jeśli o to poproszę?

Este zignorowała budzący się w głębi duszy niepokój.

– Tak, Theteanie – odparła z prostotą, spuszczać wzrok. Dokładnie tak, jak nakazywała etykieta.

Thetean zrobił ruch, jakby zamierzał przyciągnąć ją do siebie i ucałować, lecz tylko musnął ustami jej czoło.

– Zatem do zobaczenia, złotowłosa. Nie zapomnij o mnie!

I nagle znalazła się z powrotem na sali balowej, wśród zapachu wędnących kwiatów i roztopionego wosku. Większość świec pogasła, ostatni goście szykowali się do wyjścia. Muzycy chrapali, porzuciwszy instrumenty. Błękitny tron stał pusty.

– Este! Gdzieś ty zniknęła, pannico? – syczała gniewnie babka, zmierzając ku niej tak energicznie, jak tylko pozwalała jej tusza. – Jak tak można? Co powie twój ojciec? Oj, wstyd!

* * *

– **I** do tej pory nie wiesz, kim on jest? Niesamowite!

Este przytaknęła z ociąganiem. Przyjaciółka – o dwa lata starsza, pulchna Lasara – patrzyła na nią przenikliwie, mrużąc ciemne oczy.

– A może zmyśliłaś to wszystko, co? No, przyznaj się: zmyśliłaś?

– Nie zmyśliłam – odparła Este znużonym tonem. Nie chciało jej się rozmawiać. Odwróciła głowę do okna.

Na podwórku wszystko oblepił złotawy upał. Konie, psy, służba poruszali się jak unurzani w miodzie. Wewnątrz rezydencji Lan-Agenów można było za to zapomnieć o drapieżnym słońcu. W niziutkich komnatach pod otynkowanymi na niebiesko sufitami nawet w samo południe panował przyjemny chłodek. Pachniało woskiem, lawendą, starym drewnem. Puszyste koty przemykały pod ścianami albo drzemały rozkosznie na wyściełanych meblach. Babka Este uwielbiała te zwierzęta.

Od pamiętnego balu upłynął prawie miesiąc. Przez ten czas Thetean nie dał znaku życia. Este nie wiedziała, co myśleć. Czy to, co zapamiętała, rzeczywiście się wydarzyło?

– Powiedz, a rozmawiałaś już o tym z kimś? – Lasara nie dawała za wygraną. – Twój ojciec wie?

– Nie, oczywiście że nie! A sądzisz... sądzisz, że powinien?

Lasara wzruszyła ramionami, szykując się do wstania. Jęknęła z cicha i opadła z powrotem na krzesło, masując wyduły brzuch. Od roku zameżna z wysokiej rangi urzędnikiem, wkrótce miała mu urodzić pierwsze dziecko.

– Przyznam szczerze, że na twoim miejscu czułabym się... bo ja wiem, nieswojo, gdyby nikt poza mną nie wiedział...

– Teraz ty wiesz, bo zdecydowałam się ci powiedzieć. – Este nagle się ożywiła.
– Ale nie mów nikomu więcej, dobrze? Niech wszystko zostanie między nami.

Lasara skinęła poważnie głową.

– Dobrze, kochanie. Możesz mi zaufać.

To była prawda. Lasara miała swoje wady, ale potrafiła w razie potrzeby dochować tajemnicy.

Następne pytanie przyjaciółki wywołało u Este dreszcz. Zbyt mocno pokrywało się z jej własnymi, skrywanymi głęboko obawami.

– A nie obawiasz się, że jakimś sposobem wpadłaś w sidła *ka-ira*? Jak to mówią, złocony próg nie chroni przed plugastwem... Kto wie, czy czarna magia nie potrafi wpełznąć podstępem nawet na salony Najłaskawszego!

Este nie odpowiedziała. Lasara, biorąc to za potwierdzenie, że młodsza dziewczyna dzieli jej podejrzenia, nabrała odwagi.

– No, nie załamujmy od razu rąk – podjęła irytująco ciepłym, dodającym otuchy, nic-strasznego-się-nie-stało tonem. – Rozmowa to jeszcze żadne przestępstwo, nie musisz się bać, choćby nawet... Wiesz co? Najlepiej każ, by cię zawieźli łodzią do srebrnego sanktuarium na Wyspie Łabędzi i wyświadczyć się tam magowi Tolithosowi ar Argoud. On cię oczyści, jeśli nieświadomie pozwoliłaś się skazić czernią. Ostrożności nigdy za wiele... Este? Co ty na to?

Este milczała.

* * *

Znowu minęło kilka dni – podobnych do siebie, sennych i pustych, jak gdyby upał wyszał z nich wszystkie soki... Któregoś popołudnia nieoczekiwanie zastukano do drzwi jej komnaty. Otworzywszy, Este cofnęła się o krok na widok obcej twarzy.

– Wielmożny Thetean prosi o wybaczenie – szepnął, kłaniając się nisko chłopiec odziany w czarno-złotą liberię. – Nie zapomniał o tobie, pani. Czy wciąż jeszcze pragniesz się z nim zobaczyć?

Wszystko odbyło się trochę tak jak w jakiejś romantycznej balladzie. Este – w domowym stroju, nawet nie związując włosów, żeby nie wzbudzać podejrzeń czeladzi – wymknęła się za posłańcem do ogrodu, a stamtąd tylną furtką na ulicę, gdzie już czekał powóz z zasłoniętymi oknami. Wsiadła; pacholik wskoczył na kozioł, woźnica strzelił z bata. Pojechali.

W odrapanym, podejrzanie wyglądającym domu na przedmieściu obicia na ścianach były spłowiałe, a meble wyglądały na kupione od handlarza starzyzną. Dziewczyna nieco przestraszyła się tego miejsca.

– Nie mieszkam tu – wyjaśnił Thetean pospiesznie i z odrobiną zażenowania, gdy tylko się przywitani. – Niestety, muszę dbać o to, by nikt nas nie wyśledził, a właściciel tego domu jest mi winien przysługę. Co ja widzę? Masz rozpuszczone włosy! Czy ty wiesz, jak cudnie wyglądasz z rozpuszczonymi włosami?

Chwytał ją za rękę i okręcił kilka razy, śmiejąc się jak żak. Este nie protestowała.

Potem rozmawiali. Nie zapamiętała wiele z tej rozmowy. Jego oczy... głos... I przemożne uczucie szczęścia, od którego obskurny pokój wydawał się topnieć, rozpływać w tęczowym blasku.

– A wiesz, mam tu coś dla ciebie – rzucił ni stąd, ni zowąd Thetean. – Do takich dziewcząt jak ty nie podchodzi się wszak z pustymi rękami. Oto róża, kwiat o jakże wyrazistej symbolice. Ale ona rychło zwiędnie, tracąc swój powab. Zaslugujesz na trwalszy i cenniejszy podarunek, prawnuczko Marilis. Patrz!

Gestem prestidigitatora wzniosł dłonie. Este z wrażenia omal nie upuściła otrzymanego dopiero co kwiatu.

– Podoba ci się? Pozwól, zapnę... Nachyl głowę.

Naszyjnik był z białego złota; drobniutkie ogniwka świadczyły o godnym podziwu kunszcie rzemieślnika. Pojedynczy, wielki rubin o kaboszonowym szlifie przez kontrast wydawał się ciemny jak zakrzepła krew. Dopiero gdy światło padło nań z boku, we wnętrzu klejnotu zapełgał wiśniowy ogień.

– Nie, nie. – Este zreflektowała się nagle. – To nie w porządku, nie mogę...

– Żartujesz? Jest już twój. Noś go i myśl o mnie! Chyba że jestem ci aż tak niemili?

Zaprzeczyła ze śmiechem, lecz Thetean nie dał się tak łatwo zbyć. Ujął ją pod brodę i gestem nakazał, żeby popatrzyła mu prosto w oczy.

– Coś cię dręczy, złotowłosa, widzę to po twoim spojrzeniu. Nie, nie próbuj zaprzeczać! O co chodzi?

– Widzimy się dopiero drugi raz – szepnęła nieśmiało. – Wszystko jest takie... dziwne... Nie wiem nawet, z jakiego rodu się wywodzisz...

Thetean machnął ręką.

– Tylko tyle? Wstydziłabyś się! Dziecinna ciekawość!

– Nie powiesz mi?

– Cóż, skoro tego chcesz...

Uśmiechnęła się. Wypowiedział jakieś słowo, lecz nie brzmiało ono jak nazwisko. Este niespodziewanie poczuła zawrót głowy.

Ocknęła się we własnej sypialni. Leżała na łóżku, obok wyciągnął się mrużący kot. Na zewnątrz niebo zaczynało granatowieć. Co najdziwniejsze, nikt nie zauważył jej nieobecności.

Prawie mogłaby uwierzyć, że spotkanie odbyło się tylko w jej wyobraźni, gdyby nie to, że w dłoni wciąż ścisnęła naszyjnik, zawinięty w haftowaną chustkę. Chustka intensywnie pachniała pomadą.

Este wiedziała, że musi ukryć klejnot przed wścibskimi oczami służących. Schowała go – nie do szkatułki, w której trzymała pozostałe ozdoby, ale na samo dno wielkiej skrzyni z ubraniami, pod warstwy starannie poskładanych sukien, szarawarów i pachnącej lawendą bielizny.

Późnym wieczorem, gdy wszystkie lampy były zgaszone, a drzwi do jej sypialni zaryglowane, wyjęła go i założyła. Potem długo przeglądała się w lustrze. Cienka złota linia wiła się węzowato na białej skórze. W smudze księżycowego światła rubin połyskiwał ciepło i tajemniczo. Czarodziejsko.

– Piękny – powtórzyła na głos i roześmiała się.

* * *

Upłynął tydzień, potem drugi, bez wieści od tajemniczego adoratora. Este tym razem nie zwierzała się nikomu. Milczała i cierpliwie czekała. Coś podpowiadało jej, że tak właśnie należy uczynić.

Hrabia Lan-Agen coraz częściej zapraszał do swojego domu pewnego układnego młodzieńca ze starej szlacheckiej rodziny, który dorobił się majątku podczas zamorskich podróży. Babka raz czy drugi napomknęła coś o posłaniu po jurystów, o kontrakcie narzeczeńskim... Este, jak przystało na dobrze wychowaną panienkę, ani mrugnięciem nie dała po sobie poznać, co myśli na temat tych planów.

Ukradkowe przymierzanie naszyjnika stopniowo weszło jej w nawyk. Zaczęła robić to każdej nocy, kiedy tylko miała pewność, że nikt jej nie przyłapie.

Aż któregoś razu zapomniała go zdjąć, zanim się położyła.

I przyśnił jej się sen...

W tym śnie spacerowała samotnie po zasnutych mgłą łąkach, nie pamiętając, skąd i dokąd idzie. Rosa ziębiła stopy, wiatr szarpał rozpuszczone włosy i szeleścił w żółtawej, jesiennej trawie. Potem zapadł zmierzch i Este również stała się zmierzchem; ciemnością bez ciała, bezszelestnie przemierzającą urojone szlaki...

Potem przebudziła się w bogato przyozdobionej komnacie przy trzaskającym ogniu, i był tam również Thetean.

– Nadszedł czas spłacania danin, moja miła – rzekł na powitanie swym miękkiem, budzącym zaufanie głosem. – Pora, byś mi się odwdzięczyła za mój dar.

Czas znowu zwalnia bieg; sekundy wydają się rozciągać jak lepki syrop. Dziewczyna spogląda z bliska w błyszczące czarne oczy i czeka z biciem serca na słowa, które zaraz padną – chociaż tak naprawdę już się domyśla, już wie.

Spomiędzy fałd płaszcza Thetean wyjmuje malowane na płytkach smoczej kości miniatury, wciska jej do rąk. Este rozpoznaje portrety swojego ojca, babki, młodszych braci, bliższych i dalszych krewnych...

– Nic cię z nimi tak naprawdę nie łączy, co? – Mężczyzna uśmiecha się, ale w jego spojrzeniu jest coś drapieżnego, wilczego... – Spal ich! – wykrzykuje zniecacka, podrywając się z krzesła. Wyciągnięta ręka wskazuje migoczące w kominku płomienie. – Nic dla ciebie nie znaczą, spal ich wszystkich!

Tak niewiele trzeba... Jeden ruch, i portrety zwęgłają się błyskawicznie jak motyle skrzydła. Este w oszołomieniu kiwa głową. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, klęka. Thetean rozsznurowuje jej gorset. Całuje w kark.

Jego śniada, przystojna twarz, tak blisko-bliziotko...

Daleko, daleko w innym wymiarze i czasie dłoń śpiącej pełźnie w górę, by dotknąć naszyjnika. Palce muskają klejnot, nieruchomieją.

– Przysięgnij na kamień, który ci ofiarowałem, że należysz do mnie.

– Nie! – Este nagle zaczyna się bać. Próbuje go odepchnąć, uwolnić się od tego aksamitnego szeptu, aksamitnych objęć, aksamitnej pokusy. – Nie prosz o to, nie chcę...

– Nie? – Thetean unosi brwi, uśmiechając się ironicznie. – Nie chcesz? – powtarza, przytulając ją. Este po raz pierwszy zauważa na jego szyi poprzeczną bliznę, purpurową i nabrzmiąłą. Ciałem wstrząsa dreszcz

(skaza)

...lecz usta nie chcą już być posłuszne. Odpowiedź wymyka się z nich tak lekko i łatwo, jak woda wyciekająca z nieszczelnego naczynia.

2. Szpital

Shan Vaola, Tay, Eume, Yever Laren, Kang.

Są suwerenne, nie wchodzą w skład żadnej z Siedmiu Krain. Jednak tytuły ich władców nie są niczym więcej niż pustymi słowami. W pięciu metropoliach nad pięcioma odnogami Zatoki Snów tak naprawdę rządzi Elita – bractwo czarodziejów, pieczętujących się znakiem świetlistego pentagramu.

To wybrańcy, którzy rozwinęli w sobie niezwykłą moc. Potrafią rozkazywać żywiołom, odczytywać przyszłość z gwiazd i ożywiać nieożywione.

Ich umiejętności są darem od tajemniczej potęgi, którą oni sami nazywają Sha'r; poeci wolą używać określeń Budząca Ogień lub Dająca Wzrok, zaś prosty lud mówi po prostu: Zmrocza. Potęga ta ma jednak dwa oblicza. Oprócz szlachetnej srebrnej magii istnieje też ta przeklęta, czarna. Mówi się, że na każde niemowlę obdarzone samorodkiem srebrnego talentu przypada dziesięciu ludzi, w których Zmrocza rozbudziła dar skażony, degenerujący. Z reguły popadają oni w szaleństwo i wkrótce umierają. Mogą przeżyć tylko w jednym wypadku – jeśli szybko znajdą kogoś, kto ich nauczy, jak panować nad złą siłą.

Srebro było i będzie silniejsze od czerni, dlatego właśnie dotknięci skazą są tak liczni; musi bowiem istnieć równowaga. Sama Zmrocza dąży do jej zachowania, w razie potrzeby regulując proporcje pomiędzy swą czystą i skażoną częścią. Nie do końca wiadomo, na jakich zasadach to się dzieje. Zauważono na przykład, że – wbrew logice – kiedy jakiś czarny mag staje się szczególnie silny, srebro w jego otoczeniu wydaje się słabnąć. To i inne podobne zjawiska każą Elicie bezustannie zachowywać czujność. Jej członkowie mają świadomość, że w każdej chwili coś lub

ktos może zagrozić ich hegemonii w dziedzinie magii. W dodatku skażone zaklęcia, użyte nierozważnie, łatwo mogą zagrozić kruchej tkance świata... Jednak magowie Elity brzydzą się brutalnych rozwiązań, jakże sprzecznych z filozofią srebra. Zamiast po prostu zabijać wszystkich, na których padło przekleństwo Zmroczy, Elita izoluje ich w specjalnych przytułkach, położonych na odludziu. Tam zostają stopniowo pozbawieni daru, a utraciwszy go, umierają. Nie jest to piękna śmierć. Czerń, nie mogąc znaleźć ujścia, obraca się przeciwko jej posiadaczowi; zanim zniszczy, stopniowo zżera umysł i ciało... Ale na ten temat nie mówi się głośno. Tak zwane Domy Godnego Odejścia muszą istnieć i działać; nikt nie zna lepszego sposobu, by uchronić świat przed skazą.

Nielicznym udaje się uniknąć losu, jaki przeznaczyła dla nich Elita. Z woli Zmroczy trafiają pod opiekę podobnych sobie. Uczą się korzystać z czarnej siły; poznają podporządkowane jej formuły i symbole, w większości różniące się od tych, które przypisano srebru. Zostają adeptami Zakazanej Sztuki, *ka-ira*, których pospólstwo nazywa żmijami. Nie wiadomo dokładnie, ilu ich jest; im są zdolniejsi, tym lepiej się kamuflują. Mają sprawne umysły, za to dusze przeżarte złem i Elita tępi ich niczym prawdziwe jadowite gady.

Szpital krył się w lesistej dolinie, kilkanaście mil za rogatkami Tay. Nie był to Dom Godnego Odejścia, lecz zwykły ośrodek dla obłąkanych. Wybudowano go przed ponad dwustu laty. Szary, masywny budynek nie zmienił się przez ten czas ani trochę. Tylko posadzone wokół niego krzewy rozrosły się w niechlujną gęstwinę, jakby chciały zasłonić jego brzydotę. Żelazne ogrodzenie wznosiło się wysoko ponad ten liściasty chaos. Czubki prętów były ostre jak grotty.

Anakhias, najmłodszy spośród posługaczy, miał dwadzieścia dziewięć lat, z czego dziesięć spędził za murami szpitala. Praca nie była znów taka zła. Nie musiał się martwić o wyżywienie i dach nad głową, a do pacjentów można się było przyzwyczaić.

Wszystkie sale na dolnych piętrach wyglądały tak samo. Wszystkie cuchnęły moczem, brudną bielizną i stęchłą słomą. Pacjentów ubierano w jednakowe, długie do ziemi zgrzebne koszule. Golono im głowy, żeby zapobiec namnażaniu się robactwa, ale niewiele to dawało; rzadko prane posłania roiły się od wszy i pcheł. Karmiono przyzwocie, ale mało któremu spośród chorych dopisywał apetyt.

Zarówno medycy, jak posługacze nosili błękitne szaty, różniące się jedynie krojem, a na szyi obowiązkowo medaliony w kształcie pentagramu. Szpital był własnością Elity; funkcję zarządcy pełnił sędziwy srebrny mag o trudnym do wymówienia imieniu. Dwóch jego uczniów stale nadzorowało poczynania lekarzy. Czasem zdarzało się, że u któregoś z przywiezionych szaleńców rozpoznawano objawy budzącego się czarnego daru i wtedy zarządca szpitala wysyłał gołębia z wiadomością do najbliższego Domu Godnego Odejścia, odległego o ponad czterdzieści mil. Już następnego ranka przyjeżdżała kareta zaprzężona w cztery białe, bezokie monstra, którym z paszcz buchał przesycony siarką dym. Wysiadały z niej uzbrojone po zęby golemy – przysłane, by zabrać przeklętego do miejsca, które miało stać się jego grobem.

Od rana do nocy wspólne sale pełne były zgiełku. Gość z zewnątrz przeraziłby się, słysząc, co tam się dzieje. Niektórzy szaleńcy mamrotali jednostajnie, kołysząc się z boku na bok; inni płakali albo wyrzaskiwali nic nieznaczące słowa... Tylko na najwyższym piętrze budynku panowała martwa cisza i to tam większość posługaczy czuła się nieswojo. Ciasne klitki pod dachem przeznaczone były dla najbardziej krnąbrnych i porywczych pacjentów; tych, którzy mogli stanowić zagrożenie.

O niektórych krążyły plotki, jakich lepiej nie słuchać po zmroku.

Dziewczynę o jasnych włosach przywieziono nad ranem. Powóz miał szczelnie zasunięte firanki, a na jego drzwiczkach błyszczał herb jakiegoś możnego rodu.

Umieszczono ją na najwyższym piętrze, w pokoju, którego okno wychodziło na mały przyszpitalny ogródek. Porządkując na dole rabaty, Anakhias przez całe popołudnie słyszał jej płacz – cienki i natrętny jak kapryśnienie dziecka.

Wieczorem jeden z medyków wezwał posługacza i wręczył mu wypchany płócienny worek, który należało zanieść do przechowalni. Anakhias dostrzegł wystający zeń rąbek tkaniny obszytej koronką i nie mógł się powstrzymać od zapytania, co znajduje się w środku.

– Rzeczy pacjentki, którą przyjęliśmy dziś rano – odparł lekarz. Zajęty wertowaniem ksiąg, zaledwie rzucił okiem na podwładnego i dalej mruczał z roztargnieniem. – To wcale ciekawy przypadek. Zdrowa na ciele, bez objawów gorączki mózgowej, zdradza za to symptomy hysterii. Bredzi o demonie, który ofiarował jej kosztowny łańcuch czy wisior, a potem odebrał duszę. Jednak ani przy niej, ani w jej komnacie nie znaleziono żadnego drogocennego przedmiotu. Cuspius ar Eren jest pewny swojej diagnozy, tak pewny, że załatwił już przeniesienie pacjentki; lecz ja twierdzę, że jeszcze się przekonamy, czy to przekleństwo Zmroczy, czy też pospolity obłąd. – Nieoczekiwanie podniósł głowę i zamachał gniewnie na Anakhiasa, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność. – Co, jeszcze tu stoisz? Rusz się, durniu, szkoda czasu!

Znalazłszy się w bezpiecznej odległości od gabinetu, Anakhias zwolnił kroku. Potem przystanął. Nękała go niedająca się stłumić ciekawość. Sprawdziwszy, czy nikt się nie zbliża, otworzył worek, żeby choć rzucić okiem na zawartość. Ujrzawszy, co jest w środku, bez ceregieli wytrząsnął wszystko na posadzkę.

Suknia z blad różowego atlasu wciąż jeszcze wydzielala woń jaśminowych perfum. Podobnie pończochy i bielizna, delikatna jak pajęczyny. Słodki zapach sprawił, że Anakhiasowi serce zabiło żywiej. Pomyślał o dziewczynie, która jeszcze niedawno nosiła te rzeczy. Istota ze szczęśliwszego świata – nieskazitelne ciało, wyniosłe spojrzenie... Teraz stała się niczym piękny owoc, zżerany od środka przez zgniliznę. Posługacz poczuł dreszcz, lecz nie potrafił wypuścić z rąk jej odzieży. Machinalnie miał w palcach upachnidlone fatałaszkę, wyobrażając sobie, jak by to było – dotykać tej białej jak mleko skóry... całować tę dziewczynę, być z nią...

Nagle spomiędzy pienistych koronek wypadło coś błyszczącego i z brzękiem potoczyło się po kamiennych płytach. Anakhias wstrzymując oddech podniósł przedmiot i obejrzał go uważnie. Platynowa brosza w kształcie motyla była niewiele mniejsza od jego dłoni. Maleńkie czerwone kamyczki, którymi ją inkrustowano, w blasku świecy wydawały się żarzyć najprawdziwszym ogniem. Posługacz poczuł zawrót głowy. Rozejrzał się, lecz wokół wciąż było pusto. Pospiesznie wsunął broszę w zanadrze, pozbierał pozostałe rzeczy i wepchnął byle jak do worka. Czując, że palą go policzki i kark, czym prędzej pobiegł na dół, żeby przekazać swoje brzemię w ręce garderobianych.

Potem, chyłkiem-milczkiem – do izdebki, w której sypiał.

Jakaś część umysłu ostrzegała, że to, co zamierza zrobić, graniczy z szaleństwem. Sam widok klejnotów wystarczył jednak, żeby zagłuszyć głos rozsądku. Anakhias ukrył broszę głęboko w swoim sienniku – wśród słomy i wysuszonych skórek od chleba, które gromadził z myślą o dniach, kiedy za jakieś błahe przewinienie pozbawiano go posiłków (magowie z upodobaniem stosowali tę metodę, zamiast karać podwładnych chłostą). Nazajutrz przed świtem zbiegł ze szpitala, unosząc w tobołku na plecach swój mizerny dobytek, zaś za pazuchą – nowo uzyskany skarb.

Dziesięć godzin później jego śladem ruszyła pogoń. Jednak Anakhias wiedział, czym grozi mu schwywanie i zadbał o to, by zatrzeć za sobą trop.

Udało mu się umknąć.

Na pewien czas.

3. Wyjęty spod prawa

Żył w mroku. Głęboko na dnie.

Zapytany, odpowiedziałby, że nazywa się Urhel; lecz w Labiryncie Łez nikt nikogo nie pyta o imię.

Dziesiątki nędzarzy umierają tam każdej nocy, a giętkie pędy padlinożernych krzewów *olotah* obrastają i pochłaniają ich ciała. Dziesiątki martwych twarzy przepływają każdego ranka przez ręce tych, którzy noszą miano *ganeda-ira*, „złodzieje twarzy”. (Odrodzą się pod wieczór jako ociekające mlecznym płynem maski – gotowe do odsprzedania przemytnikom zaopatrującym chłonne rynki w Othlonie i Argoud, gdzie prawo zakazuje korzystania z symbiontów...) Marynarze i awanturnicy przepuszczają bajeczne sumy w palarniach opium. Chłopcy o wiekowych oczach walczą na śmierć i życie o byle ochłap żywności, strzęp koca, dogodne miejsce do zebrania. Ich siostry kupczą własnymi ciałami pod żółtym okiem księżycy. Labirynt Łez to śmietnisko miasta Kang; największe jezioro szumowin na południe od Shan Vaola i tamtejszych osławionych Podziemi.

Właśnie na tym śmietnisku Urhel urodził się i wychował.

Żył na ulicy. Nie znalazł sobie miejsca w żadnej grupie, więc działał sam. Przyjmował zlecenia od każdego, kto był gotów zapłacić. Za kilka leri kradł, kaleczył, zastraszał. Bardzo rzadko – zabijał. To zadanie na ogół powierzano silniejszym i bardziej zaufanym. Kiedy skończył dwadzieścia lat, po cichu zaczęto mówić, że ulica wkrótce upomni się o niego, tak jak upominała się w końcu o wszystkich, których wydała na świat. Odkąd w bójce przecięto mu ścięgna pod kolanem, Urhel utykał, a jego ciemne oczy coraz częściej powlekała od wewnątrz mgła. Alkohol i mak – dwa cudowne środki znieczulające. Grał w kości z losem, z góry ciesząc się na myśl o chwili, kiedy jego szczęście się wyczerpie.

W samym sercu Labiryntu Łez znajduje się tawerna. Od lat w tym samym miejscu; mimo wszystkich starć pomiędzy rywalizującymi gangami i gildiami,

płonących alejek i kramów. Ten jeden lokal jest nietykalny, podobnie jak jego właściciel. Starego Sankha przezywają Dawniej-Dwa. Plotka głosi, że gdy się urodził, jedno z jego oczu było zwielokrotnione jak u owada i wypłynęło po kilku dniach, zostawiając pusty oczodół. Gdyby była to prawda, powinien jako odmieniec trafić do getta; lecz możni srebrni magowie mają na głowie ważniejsze rzeczy, niż dbanie o czystość rasy w dzielnicy, która i tak jest wylęgarnią wszelkich form zepsucia. Tak więc Sankh Dawniej-Dwa od dwudziestu z górą lat bez przeszkód prowadzi w sercu Labiryntu Łez odziedziczony po ojcu interes.

Tawerna prosperuje. Bywają tu przedstawiciele wszystkich zwalczających się przestępczych klanów. Mocą uniwersalnego porozumienia w pięciu słabo oświetlonych salkach obowiązuje zawieszenie broni. Przy zalanych trunkami stołach zawiera się sojusze, ustala strefy wpływów i snuje plany przyszłych zbrodni. Dawniej-Dwa obserwuje to wszystko z wyżyn baru, doskonale bezstronny. Zna swoje miejsce i funkcję. Nigdy nie zdarzyło się, żeby powiedział coś, czego nie powinien.

W czasach, o których mowa, Urhel częściej niż zwykle bywał w lokalu Sankha. Przesiadywał w kącie, nie odzywając się do nikogo. Pozbawiona wyrazu twarz, ręka bawiąca się czarką taniej wódki... Śnił na jawie makowe sny, obojętny na spojrzenia pozostałych klientów, którzy patrząc na niego szeptali, że kuternodze zostało już niewiele czasu.

Tak było do momentu, gdy na horyzoncie pojawili się mordercy spod znaku srebra.

A wcześniej jeszcze – człowiek, którego ścigali...

* * *

– **P**rzekłęci nadchodzą! – krzyczał wniebogłose pijany Tobes, woźnica. Twarz mu spurpurowiała, oczy zwięzły się w szparki. Wymachiwał chudymi rękami, wygrażając nie wiadomo komu. – Biada wam, grzesznicy! Otchłań otworzyła swe

podwoje i słudzy demonów zstąpili na ziemię, by polować na zbłąkane dusze...
Biada, biada!

Mijając go, ludzie przyspieszali kroku, odwracali głowy. Niektórzy składali palce w znak chroniący przed nieczystą siłą. Nawet w jasnym blasku dnia majaczenia pijaka przepelniały ich lękiem. W świecie, w którym magia jest zjawiskiem równie powszednim jak deszcz, bredzenie szaleńca może niespodziewanie okazać się prorocstwem.

Urhel zignorował zawodzącego mężczyznę. Przeciął gwarne plac targowy i zanurkował w sieć krzyżujących się alejek, gdzie tylko tubylcy potrafili się poruszać, nie błędząc. Rozpadające się drewniane budy – domostwa, małe warsztaty – niknęły za szarawą mgiełką dymu. Odór płonącego nawozu i śmieci mieszał się z wonią przypalonego tłuszczu. Ci, którzy mieli co włożyć do garnka, szykowali właśnie pod gołym niebem wieczorny posiłek.

U Dawniej-Dwa wrzał gwar. Zginał ktoś ważny; zginał haniebnie i głupio, zdradzony przez swojego najbliższego poplecznika. Teraz jego wierni towarzysze szykowali zemstę. Kuternoga jak zwykle usiadł w kącie. Tego dnia nie miał ochoty na Sankhowe dekokty. Większa niż zwykle dawka opium stępiała zmysły. Nie czuł żadnej więzi z kłębiącą się wokół niego ludzką masą; odpływał powoli, wsysany przez bagno własnych na wpół zdefiniowanych rojeń.

Oprzytomnienie przyszło nagle. Uświadomił sobie, że ktoś dotyka jego dłoni. Stare, wypracowane przez lata odruchy zadziałały pomimo zaciemniającego zmysły narkotyku. Urhel zmusił odporne gałki oczne, żeby skupiły się na nieznanym, podczas gdy prawa ręka wśliznęła się za pazuchę brudnej tuniki i schwyciła nóż.

– Nie trzeba – wychrypiał tamten. – Nie mam broni.

Ktokolwiek to był, nie wyglądał groźnie. Przygarbioną postać od stóp do głów spowijały łachmany, niegdyś prawdopodobnie niebieskie, teraz – szarosine i upstrzone plamami błota. Niewielkie połacie odsłoniętej skóry miały zbliżony kolor.

Naciągnięta na głowę poła płaszczka szczelnie skrywała twarz. W szparze tkaniny błyszczały rozbiegane źrenice.

– Odejdź – mruknął kuternoga. – Dawniej-Dwa nie pozwala tu żebrać.

Sino ubrany zniknął jak zdmuchnięty; niemal można było uwierzyć, że stanowił tylko wytwór podrażnionej opium wyobraźni. Jednak nad ranem pojawił się ponownie. Tak jak poprzednio, w owiniętej szmatami twarzy widoczne były tylko oczy. Coś w wyrazie tych oczu sprawiło, że Urhel nagle poczuł się całkowicie trzeźwy. Po plecach przeszedł mu dreszcz.

– Pomóż – rzucił obcy bez żadnego wstępu. – Ścigają mnie...

– Kto? – spytał odruchowo kuternoga.

– Słudzy srebrnych, kamienni żołnierze... Pomóż, zapłacę. – W wyciągniętej dłoni tamtego coś błysnęło. Urhel ujął podany przedmiot i omal nie upuścił go na podłogę, gdy po skórze dłoni przebiegło ciepłe mrowienie. Rozwarł nieznacznie palce i zrozumiał, co trzyma. Bez zbędnych słów wstał i dał znak nieznanemu, by szedł za nim. Tylnym wyjściem opuścili pustoszejącą tawernę, by wtopić się w noc.

Mrok Labiryntu pstrzyły ruchliwe odblaski ognisk; tu i ówdzie rozbrzmiewały głosy, tupot stóp... Urhel pociągnął sino ubranego w bok, w zarośla pleniące się między chatami. *Olotah* wiły się i syczały gniewnie, gdy dwa cienie przekradały się przez ich gęstwiny, ale trzymały swoje ssawki z daleka.

Znał zrujnowaną kaplicę na obrzeżu dzielnicy. Wiele lat wcześniej, w szczęśliwszych czasach, jakieś bogobojne ręce zasadziły wokół niej kilka wierz. Drzewa rozrosły się i teraz ich gałęzie opuszczały się nisko, zamykając rozsypujący się budynek w kokonie z gałęzi i liści. Pod kaplicą znajdowała się płytki krypta, od dawna pusta. Złodzieje sforsowali zamknięcie i wynieśli urny, tablice z imionami zmarłych, wota – wszystko, co zawierało choćby uncję metalu. Teraz loch od czasu do czasu służył bezdomnym za schronienie. Jednak biedacy Kangu są przesądni i niewielu odważa się nocować w miejscu, gdzie złożono zwłoki. Tej nocy nikogo tam nie było. Urhel odetchnął.

– Ty przodem – powiedział do sino ubranego. Ten zawahał się. Kuternoga popchnął go lekko. – No, na co czekasz? To dobra kryjówka...

Sino ubrany posłusznie zaczął zstępować po chwiejących się schodkach. Nie mógł widzieć, że za jego plecami Urhel ostrożnie sięga w zanadrze.

Nie krzyknął, kiedy silne ramię opasało mu gardło, a nóż wbił się w serce.

– Dobra kryjówka – powtórzył półgłosem kuternoga. – Przy odrobinie szczęścia nie znajdą cię tu zbyt szybko...

Zawłókł zwłoki w najdalszy kąt krypty, układając je w takiej pozycji, żeby wydawało się, że mężczyzna pogrążony jest w pijackim śnie. Patrząc na swoje dzieło, przypomniał sobie tamto „pomóż” i zdjął go pusty śmiech. Kto byłby zdolny wpaść na pomysł, żeby poprosić o pomoc w Labiryncie Łez? Mało tego – w dodatku wierzyć, że prośba zostanie spełniona? Chyba tylko człek niespełna rozumu...

Wiedziony ciekawością uniósł rąbek łachmanów, żeby zerknąć na twarz trupa. Na widok ropiejących wrzodów pospiesznie opuścił z powrotem przykrycie. Wcześniej zamierzał przetrząsnąć kieszenie zabitego, lecz zrezygnował z tego. Wycofał się, kreśląc nożem kręgi w powietrzu, żeby odegnać ducha choroby.

Wyszedłszy na powierzchnię, w zadumie obrócił w dłoni otrzymany wcześniej przedmiot – różę z czerwonego metalu, zawieszoną na łańcuszku tej samej barwy. Cmoknął z podziwem, gdy z bliska dostrzegł wyryte na płatkach wzory, tak cienkie i misterne, że niemal nie do odcyfrowania.

– A to cacko zabierzemy zaraz do kogoś, kto będzie umiał ocenić jego wartość.

* * *

– Nie, nie omyliłeś się, serdeńko – wymamrotała stara Asucena. Ujęła delikatnie wisiorek drewnianymi szczypcami i dla pewności raz jeszcze przybliżyła do krótkowzrocznych oczu. Pokiwała energicznie głową. – Żebym tak zdrowa była! Talizman, psiajucha. Z miedzi odlewany, z napisami, znakami, ze wszystkim co trzeba. Skąd go masz?

– Nie twój interes, stara więdźmo.

– W porządku, serdeńko. – Lichwiarka wyszczerzyła w uśmiechu spróchniałe zęby. – Wiesz, że Asucena nie jest dociekliwa. Chcesz toto oddać w zastaw? Czy sprzedać?

– Zależy za ile.

Starucha zastanowiła się. Na ogół bez zmrużenia oka przyjmowała łupy z kradzieży. Podobnie jak Sankh Dawniej-Dwa dbała głównie o to, żeby nie narazić się żadnemu ze swoich licznych klientów. Jednak kosztowności to jedno, a przedmiot naznaczony piętnem czarnej magii to drugie. Kradziony talizman, wiadomo, nie będzie służył złodziejowi, a czasem to i potrafi się zemścić za krzywdę prawowitego właściciela... Nie chciała powiedzieć kuternodze wprost, że nie kupi od niego zaczarowanej róży, bo w skrytości ducha trochę się go obawiała. Tego ranka, kiedy wsunął się do jej sklepiku, dostrzegła w ciemnych oczach szklisty błysk szaleństwa.

– Żadnego pożyczania – zawyrokowała w końcu. – Dziesięć leri, jeśli chcesz sprzedawać.

Było to za mało, o wiele za mało. Oboje o tym wiedzieli. Urhel zrozumiał to, co nie zostało powiedziane na głos. Zgrzytnął zębami, ale nie próbował wszczynać kłótni. Schował przyniesiony przedmiot i pokuśtykał do drzwi. Kiedy wyszedł, Asucena odetchnęła z ulgą.

* * *

– Uciekaj z tym! Poszedł won!

– Widzieliście go? Talizmany mi tu będzie wyciągał, taka jego mać!

– Głuchy jesteś? To porządny kantor! Nie biorę kuglarskich śmieci! Ani srebrnych, ani czarnych, ani nijakich!

– Czyś ty zdurniał? Chcesz mi ściągnąć na kark Jednookich? Idźże precz, bo jak wezwę pachoła...

– Hej, chłopcy, wyrzućcie stąd tego pomyłonego kalekę! Chce zadzierać z czarodziejami, to niech zadziera, ale nie w moim lokalu!

* * *

Pod murem; sam. Siąpi deszcz, ubranie powoli nasiąka wilgocią.

Ręka bawiąca się nożem: wyjąć, podrzucić, złapać, schować. Wyjąćpodrzucićzłapaćschować. Twoja prywatna mantra, odmierzająca kolejne godziny.

Odwiedziłeś po kolei wszystkich handlarzy, jakich znasz. Jakby się zmówili – mało który chciał w ogóle z tobą rozmawiać. Żaden nie zaoferował rozsądnej ceny za przeklętą różę.

Asucena, kiedy pod wieczór chciałeś ponownie się do niej udać, zatrzasnęła ci drzwi przed nosem.

Teraz siedzisz pod murem, zziębnięty, bez grosza. Ręka bawiąca się nożem, wyjąćpodrzucićzłapaćschować, podczas gdy zastanawiasz się posepnie, co dalej.

W końcu zmęczenie i bezruch powodują, że zapadasz w niespokojny sen... I wtedy właśnie odnajdują cię golemy, które podążały wytrwale twoim śladem od krypty, w której ukryłeś zwłoki. Nie budzisz się, kiedy toporne białe sylwetki bezszelestnie wyłaniają się z mgły, by otoczyć cię kręgiem, a migoczące czerwono ślepa uważnie lustrują twoją twarz.

Nie budzisz się nawet wówczas, gdy przywódca patrolu zgodnie z otrzymanym telepatycznie rozkazem wbija ci w pierś sztylet nasmarowany trucizną, od której ciało w ciągu kilku sekund pokrywa się pęcherzami i zaczyna odpadać od kości, jakby trawił je niewidzialny żar...

Na drugim końcu miasta, w wieży, nad której wrotami błyszczy srebrzysty pentagram, grupka biało ubranych ludzi oddycha z ulgą. Są pewni, że cokolwiek skaziło dusze szlachetnie urodzonej Este z rodu Lan-Agen oraz Anakhiasa, szpitalnego posługacza, zostało unieszkodliwione.

Rzecz jasna, mylą się.

4. Dolina

Opadanie.

(skorupa pozorów pęka)

Przez syczące płomienie i szarość, ciemniejącą aż do czerni.

W dół, w dół, w dół...

* * *

Pierwszą rzeczą, jaką poczuł po przebudzeniu, był przenikliwy zapach siarki. Urhel pomyślał półprzytomnie, że jakimś cudem trafił do jednego z owianych legendą laboratoriów Elity, gdzie magowie dzień i noc warzą zagadkowe mikstury... Kiedy otworzył oczy, ta myśl umknęła szybciej od spłoszonego ptaka.

Znajdował się na szczycie wysokiej skały. Na nieruchomym niebie płonęły barwy, jakie można napotkać chyba tylko we wnętrzu alchemicznego atanora; zieleń, przy której świeżo skielkowana trawa wydawałaby się szara, jadowite żółcienie, trupie fiolety... W dole rozciągała się jałowa równina barwy rdzy, poprzecinana czarnymi bliznami wąwozów. Wyteńczywszy wzrok, Urhel dostrzegł uwijające się tam figurki, nie większe od mrówek. Z powodu odległości nie sposób było stwierdzić, czym się zajmują.

– A więc odzyskałeś wreszcie przytomność – zabrzmiał głos podobny do terkotania żebraczej kołatki. – To dobrze.

Urhel spróbował odwrócić głowę, żeby zobaczyć, kto do niego mówi. Nie udało się, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Tajemniczej postaci mógł się przyjrzeć dopiero wtedy, kiedy – krocząc niespiesznie – znalazła się w obrębie jego pola widzenia.

W pierwszej chwili pomyślał, że ma do czynienia z mnichem. Przygarbioną sylwetkę tamtego spowijał długi do ziemi habit. Jednak w cieniu kaptura lśniły żółte, zwierzęce oczy. Odsłoniętą szyję przecinała poprzeczna blizna.

– Kim jesteś?

– Proszę, bez takich głupstw. Moje imię nie ma znaczenia, zaś co do tego, z jakiego rodu pochodzę... – Rzekomy mnich zaśmiał się chrapliwie. – Na to pytanie, jak sądzę, doskonale znasz odpowiedź. Może tylko nie dotarła jeszcze do ciebie w pełni świadomość, gdzie się znajdujesz. Spójrz! Tam, w dole rozpościera się Dolina Machin. Jest zbyt ogromna, żebyśmy mogli ogarnąć ją stąd wzrokiem, a i tak to zaledwie niewielki wycinek Otchłani. Już wkrótce, jeśli tylko zechcesz, będziesz mógł nazywać to miejsce swoim domem.

– Czemu mnie tu sprowadziłeś... panie?

– Ależ nie ja, Urhelu! Swoje przybycie tutaj zawdzięczasz sobie, tylko sobie. Może jeszcze tej błyskotce, którą ukrywasz w zanadrzu. – Uzbrojona w długie szpony dłoń zwinnie wyluskała spomiędzy fałdów ubrania łańcuszek z metalową różą. – Chodź! – krzyknął zniecierpliwiony demon, tak głośno, że przez skałę przebiegło drżenie. – Przyjrzymy się z bliska Dolinie!

Z szarej opończy wykiełkowały na plecach czarne ptasie skrzydła. Załopotały, rozrastając się w okamgnieniu do pełnej wielkości. Stwór uniósł Urhela w ramionach jak szmacianą kukielkę i zanurkował ku czerwonawej płaszczyźnie.

Im niżej się opuszczali, tym odór siarki stawał się intensywniejszy, prawie uniemożliwiając oddychanie. Skorupiasty grunt był pełen pęknięć i rozpadlin, w głębi których bulgotała maź koloru nocy.

Wylądowali w skalnej niecce; na jej dnie kłębił się dym. Płoneło tam kilka ognisk, przy których grzały się skulone postacie. Zbocza jeżyły się drewnianymi rusztowaniami; w ich cieniu trwała gorączkowa krzątanina, słychać było turkot i skrzypienie maszynarii oraz niecierpliwie pokrzykiwania, kontrapunktowane trzaśnięciami z bata. Szary opar uniemożliwiał dostrzeżenie szczegółów.

Urhel, ciśnięty bezceremonialnie na ziemię, zdołał się z trudem podnieść – odrętwienie pomału ustępowało. Rozglądał się po trosze z przestraczem, a po trosze z fascynacją. Więc to tak wyglądało miejsce, którym kapłani straszili wiernych... Niespodziewanie jego skrzydlaty przewodnik popchnął go szorstko, zmuszając do ukłęknięcia.

– Ukorz się, śmiertelniku! Nadchodzi!

Spomiędzy rusztowań wyłonił się, stąpając powoli i dostojnie, wysoki mężczyzna w ciemnym stroju. Jego twarz zasłaniała szkarłatna safianowa maska, jaką noszą kaci. Stanął nad Urhelem i przez dłuższą chwilę wnikliwie mu się przyglądał.

– To ten? – spytał w końcu.

– Nie ulega wątpliwości, że tak, o najzjadliwszy – zamamrotał, kłaniając się fałszywy mnich. – Jest trzecim z kolei, który miał w posiadaniu nasz klejnot. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby wyrok losu okazał się nietrafny.

– Więc to klejnot go wybrał... Przyznam, że spodziewałem się lepszego egzemplarza, ale cóż, nie możemy być grymaśni. Przynajmniej ma w sobie więcej siły, niż dwoje odrzuconych... – Wysoki w zadumie potarł czoło. – Wiesz, o jakim klejnocie mowa? – zwrócił się nieoczekiwanie do kuternogi. Nie czekając na odpowiedź, rzucił: – Pokaż mu, Thetean.

W dłoniach fałszywego mnicha talizman zamigotał i zaczął zmieniać kształty, stając się kolejno platynową broszą, złotym naszyjnikiem, a w końcu węzem o mieniących się tęczowo łuskach. Gdy demon rzucił go na kamienie, gad jeszcze przez chwilę wił się i skręcał. Potem znikł, rozsypując się w kaskadę iskier, gasnących jedna po drugiej. Mężczyzna w masce kata zaśmiał się bez wesołości.

– Zawsze fascynowało mnie, jak łatwo wy, śmiertelnicy, dajecie się omamić pozorom. Niczym dzieci albo ptaki bez zastanowienia chwytności podsunęta wam błyskotkę, prawda, Thetean? I przez myśl wam nie przejdzie, że ktoś mógłby wykorzystać tę waszą łatwowierność.

Zdjął maskę. Oczom Urhela ukazało się smagłe oblicze czterdziestolatka, okolone ufryzowanymi kruczymi włosami. Cienkie wąsy były przyczernione i podkreślone po wojskowemu, a bródka przycięta w szpic. Twarz ta nie miała w sobie z pozoru nic odrażającego, lecz mimo to na jej widok wzdłuż kręgosłupa zaczynały wędrować mrówki. Te bezkrwiste, skrzywione usta... Okolone siateczką zmarszczek oczy, z których jedno było zielone, drugie zaś czarne...

– Jak widzisz, wyglądam dokładnie tak, jak przedstawiają mnie bajki... Och, przepraszam. Zapomniałem, że nie jesteś dostatecznie wykształcony, by to docenić. Stoi przed tobą władca Doliny Machin, Urhelu. Twój nowy pan.

Klasnął w ręce i wokół zaroilo się od bladych sylwetek. Nadzy młodzieńcy i dziewczęta o zgrabnych, prężnych ciałach.

– A oto moje dzieciątka, moje owieczki, z których żadna nie jest bez skazy...

Każde z nich nosiło purpurowy znak – jedni na szyi, jak Thetean, inni na czole, ramieniu albo piersi.

– Wszyscy oni umarli dawno temu, przeszli pod moją władzę i zaprzysięgli mi posłuszeństwo. Dziś wypełniają moją wolę we wszystkich sferach. Niewykluczone, że wkrótce do nich dołączysz. Musisz wiedzieć, przyjacielu, że nie tak dawno z rąk egzorcystów zginął przyboczny, którego bardzo ceniłem. Duch, którego uwięziliśmy w zaklętym klejnocie i wysłaliśmy do materialnego świata, miał za zadanie wskazać następcę. Wskazał ciebie. Niejako przy okazji zyskałem też dwie słabsze duszyczki i uważam to za nie najgorszy interes. – Władca Doliny Machin zaśmiał się, prezentując igłowate kły. – Thetean! Gdzie jesteś, przyjacielu? Chyżo, wezwij mi tu swoją pupilkę. Niech śmiertelnik zobaczy, jak traktujemy tych, którzy mieli mniej szczęścia od niego.

Fałszywy mnich pstryknął palcami i z tłumu bladych postaci wybiegła, potykając się, dziewczyna o ostrzyżonych tuż przy skórze jasnych włosach. Jej ciało od stóp do głów znaczyły zadrapania i pęcherze. Upadła na kolana, dławiąc się szlochem.

– Oto szlachetnie urodzona Este, potomkini Marilis – rzekł w zadumie władca Doliny Machin. – Nie dość silna, by zostać moją służebnicą, mimo szczerych chęci. Przysięgła mi wierność, lecz później dręczyło ją poczucie winy, aż w końcu popadła w szaleństwo. Tacy jak ona są u nas karmą dla silniejszych. Otchłań, widzisz, nie jest miejscem, gdzie wymierza się karę grzesznikom, to bzdurny wymysł kapłanów. Jesteśmy światem – światem, który przyssał się jak kleszcz na styku sfer i rośnie w siłę dzięki pochłanianiu schwytych dusz. Też będziesz miał okazję posmakować tego pokarmu, kiedy już zostaniesz moim sługą. Tymczasem popatrz sobie! Patrz do woli!

Przyciągnął do siebie wrywającą się zjawę i nie zwracając uwagi na krzyki, złożył na jej ustach długi pocałunek. Ucichła natychmiast; kiedy ją puścił, spłynęła miękko na ziemię jak pozbawiona kości. Twarz, jeszcze przed chwilą młodziutka, teraz była pomarszczona, skurczona, nie do rozpoznania.

– Zabierzcie ją, no już! – krzyknął Thetean. Dwie demonice natychmiast chwyciły Este pod ramiona i powlokły w mrok. Władca Doliny Machin oblizał wargi i czknął.

– Ale co ja widzę? – wykrzyknął z irytacją. – Ty nadal kłęczysz, Urhel? Wstawaj, dość tego! Czas na małą przechadzkę.

Weszli między rusztowania. Thetean wciąż trzymał się przy boku swojego pana; bladzi słudzy postępowali z tyłu, w pełnej szacunku odległości.

W załomach rdzawej skały gnieździły się dziwaczne maszyny, zaopatrzone w liczne klamry i pasy. W nich, unieruchomione w pozycjach urągających wszelkim prawidłom anatomii tkwiły wychudzone sylwetki. Chmary much unosiły się nad wykrzywionymi w męce twarzami, lecz żaden z torturowanych nie wydawał z siebie choćby jęku. Jedynym źródłem dźwięków były obracające się tryby i napinane do granic możliwości powrozy.

– Pomału, pomału wysysamy z nich siły... – Oblicze pana demonów rozpromieniło się błogim uśmiechem. – Jeśli nie zdecydujemy się pożreć duszy od

razu, proces jej unicestwiania odbywa się stopniowo, etapami. Poznajesz tamtego człowieka?

Mężczyzna w obszarpanych i brudnych, niegdyś błękitnych, szatach zaskowyczał przeraźliwie, kiedy żelazne kleszcze szarpnęły jego okrytą wrzodami skórę.

– Poznajesz, prawda? Niech cię czasem nie dręczą wyrzuty sumienia z powodu jego śmierci. Gdybyś go nie zabił, i tak wkrótce by zmarł. Skradł klejnot, a ten okazał się dla niego niełaskawy; poraził ciało chorobą... Usiłuje się jeszcze opierać, dlatego właśnie tak dobrze go słyhać, he he. Ale w sumie to nieciekawe indywiduum, o niskich aspiracjach, prymitywnych pragnieniach, w dodatku tchórz. Gardzę takimi.

Kawałek dalej cała zgraja bladych postaci skupiła się wokół kilku potępieńców przywiązanych do ogromnego pala. W scenie jak z przerażającego misterium demony łakomie zlizywały krew, która ciekła tamtym z oczu i ust.

– Wszyscy moi podwładni kochają czerwień... Ty również nauczysz się rozkoszować tym pokarmem, Urhelu, poszukiwać go i zdobywać wszelkimi sposobami. Bo musisz wiedzieć, że pozyskiwanie dusz nie jest bynajmniej tak proste, jak można by przypuszczać, znając liczbę ludzkich słabości. Stosujemy różne taktyki kuszenia. Pracują dla nas rzemieślnicy i artyści.

Dotarli do stołu ustawionego pod niewielkim zadaszeniem. Na ołowianym blacie ustawione były liczne tygły i retorty. Śmierdziało od nich czymś cierpkim, duszącym. Nad aparaturą pochylał się starzec w mycce i poplamionym kitlu. Węgłe żarzące się w płaskiej misie wydobywały z mroku jego zgarbioną, sępią sylwetkę.

– Był niegdyś mistrzem w swoim fachu, lecz dał się usidlić i teraz wykorzystuję jego talent do swoich celów. Wykonuje kosztowności, którymi moi słudzy zwodzą głupców. Nawiasem mówiąc, ty też trafiłeś do mnie dzięki jego pracy. Sporządzenie każdego cacka musi drogo okupić; właśnie dzięki temu są tak skuteczne...

Dopiero teraz Urhel dostrzegł, co właściwie starzec robi. Poczuł mdłości. Złotnik gołymi rękami wybierał z żaru lepkie krople roztopionego kruszcu. Jego

dłonie były straszliwie popalone. Czerniała skóra odchodziła płatami, odsłaniając krwawe ciało.

– Nie, nie odwracaj wzroku! – warknął władca Doliny Machin. – Przyjrzyj mu się uważnie i zapamiętaj ten widok! Oto, jak wygląda człowiek, którego zaślepiała chciwość...

Słyszając w pobliżu głosy, starzec powoli uniósł głowę. Zamiast oczu miał dwie złote monety.

Gdy go mijali, nie odezwał się ani słowem, kontynuując swą upiorną pracę.

– Ujrzałeś niewielką część naszej potęgi, a zapewniam, że rośnie ona w siłę z każdym dniem – odezwał się dla odmiany Thetean, kiedy zatoczywszy krąg wokół niecki, powrócili w to samo miejsce, z którego wyszli. – Czy postanawiasz przyłączyć się do nas?

Ośmielony tym, że przemawia do niego osoba niższa w piekielnej hierarchii, Urhel po raz pierwszy od długiego czasu odważył się wydać z siebie głos.

– Potrzebujecie mojej zgody? Tu, w Otchłani?

– Tak, takie są zasady. Musisz głośno i wyraźnie oświadczyć, że z własnej woli stajesz się jednym z nas.

– A jeśli nie zechcę, co wtedy? Wydacie mnie na męki, tak jak tamtych?

Oba demony, pan i podwładny, ryknęły zgodnym śmiechem. Kuternoga zamilkł, stropiony.

– Nie będziemy musieli tego robić, przyjacielu – wyjaśnił władca Doliny Machin, ocierając łzy. – Jest ktoś, kto nas wyręczy... Thetean, pokaż temu biedakowi, co go czeka, jeśli wzgardzi naszą ofertą.

Thetean posłusznie zatoczył dłonią krąg w powietrzu i w tym miejscu dymy rozwiały się, tworząc coś w rodzaju okna. W pustej przestrzeni zamigotały gwiazdy, lecz ich miejsce prawie natychmiast zajął obraz – kolorowy i wyraźny, choć pomniejszony. Urhel wiedziony ciekawością spojrział nań jeden jedyny raz i natychmiast odskoczył. Za późno; detale zdążyły wryć się w umysł.

Komnata o zimnych białych ścianach. Tace błyszczących narzędzi.

Pochylone białe sylwetki o zasłoniętych twarzach, dzierzące skalpele, szczypce, długie igły.

Trup, przykuty klamrami do metalowego stołu. Nędzna, na wpół spalona kukła, zaledwie przypominająca człowieka.

Kukła, która jeszcze niedawno była...

– Magowie Elity są dla mnie pięknym przykładem, jak dalece ideologia może zawęzić inteligentnym ludziom horyzonty – zamruczał władca Doliny Machin, nie tając rozbawienia. – Ubzdurali sobie, że ich najważniejszym wrogiem jest skażona magia i tropią ją na każdym kroku, przymykając oczy na inne zagrożenia. A ja się cieszę, bo dzięki temu częstokroć udaje mi się zmylić ich czujność. Mojego klejnotu nie znaleźli; zadbałem, by pozostał niewidoczny dla ich oczu. W tej chwili przygotowują się do przebadania twoich zwłok w poszukiwaniu skazy, którą mogliby następnie usunąć zgodnie ze wszystkimi arkanami swej sztuki, w którymś z Domów Godnego Odejścia. Istnieje tylko jeden szkopuł. Aby badanie i wszystkie późniejsze zabiegi mogły zostać przeprowadzone, konieczne jest przywrócenie cię do życia.

Urhel zmusił się, żeby spojrzeć jeszcze raz. Z czaszki tamtej... istoty... pozostała zwęglona skorupa z ziejącymi dziurami oczodołów. Jeden z biało ubranych metodycznie wbijał w te oczodoły cienkie złote szpilki.

– Są w stanie zmusić twoją duszę, żeby powróciła do ciała – uzupełnił Thetean.
– Niestety, lecznicza magia ma swe ograniczenia. Żyłbyś, i to przez dość długi czas... lecz niewiele ponad to.

– Więc jak będzie? – Władca Doliny Machin porozumiewawczo zmrużył oko. –
My czy tamci?

5. Zaprzysiężony

Rytmiczny zaśpiew wznosi się aż pod rozjarzone toksycznymi odcieniami niebo. Refren plugawej, zgrzytliwej pieśni, powtarzany w nieskończoność, wypełnia twoją głowę, wytłumiając myśli...

Ceremonia odbywa się na szczycie skały. Widma otaczają cię potrójnym kręgiem, ich purpurowe piętna wydają się żarzyć niby węgle. Władca Doliny Machin unosi rąbek szaty. Zamiast stopy ma kopyto porośnięte kędzierzawym włosiem. Powoli zginasz kolano, pochylasz się z wysiłkiem, walcząc z bólem drugiej, sztywnej nogi. Paląca żółć na języku... Widma klaszczą...

Budzi się cały spocony, w jakimś tanim zajeździe między Argoud a Tay. Już do rana nie może zasnąć. Nasłuchuje odgłosów dobiegających zza okna i stara się nie myśleć o koszmarze, który po raz kolejny go nawiedził. Być może z czasem przyzwyczai się do tych snów, tak jak przyzwyczaił się do ciała, które mu ofiarowano, żeby mógł znowu bez przeszkód poruszać się po świecie ludzi.

Równy ze wschodem słońca wyrusza w drogę. Zlecono mu misję w Argoud, a Otchłań nie toleruje opieszałości.

Podróżuje powozem, z dwoma służącymi; musi sprawiać wrażenie dobrze sytuowanego. To jedna z drobnych zalet jego posady – nie może narzekać na brak wygód.

Jest teraz zażywnym mężczyzną w średnim wieku, o wypielegnowanych dłoniach i pulchnych ustach smakosza. Oczy ma błękitne; to kolor, który wzbudza zaufanie. Ubiera się czysto i wykwintnie. Bliznę na podbródku świetnie maskuje gęsta, starannie przystrzyżona broda.

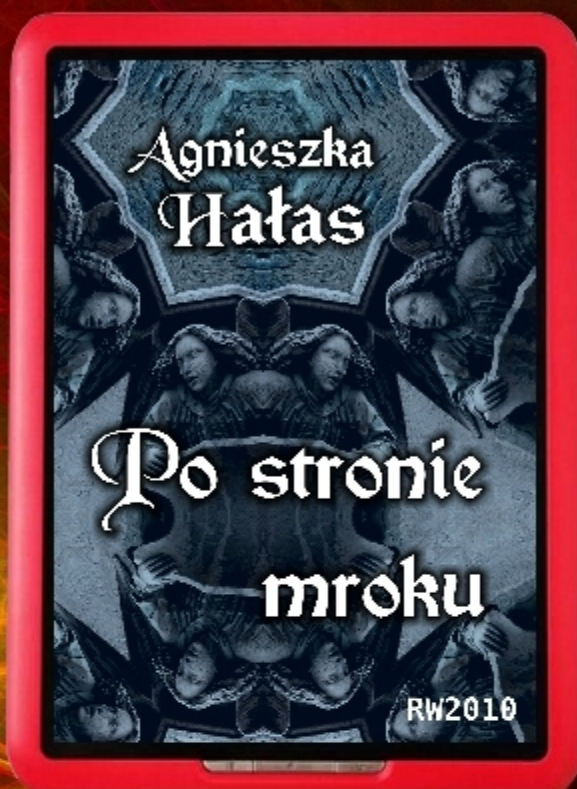
Nie sposób go odróżnić od zwykłych śmiertelników...

Autorka zaprasza na blog: <http://halas-agn.blogspot.com>. Znajdziecie tam miniartykuły z dziedziny magii, alchemii i historii medycyny, zdjęcia przyrody i zabytków, wiersze oraz inne ciekawe rzeczy.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

**Pieć ma wiele obliczy, a wszystkie one
stanowią część planów Stwórcy.
Dwanaście opowiadań połączonych
wspólnym motywem Szeolu zabierze
was w podróż przez różne czasy i
miejsca – od współczesnej codzienności
po rubieżę zaświatów.
Zachowajcie czujność.
Demony czyhają.**



**Spotykają się na sympozjum
poświęconym zjawiskom
nadprzyrodzonym. On to sceptyczny
niemiecki dziennikarz. Ona jest
polską rzeźbiarką, za którą ciągnie
się tren odległej przeszłości.
Mroczna scheda po przodkach nie
daje o sobie zapomnieć...**

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!